

Trzy mity na temat cyfrowej ery w mediach

24 listopada 2010

Opublikowanie przez witrynę internetową WikiLeaks.org 26 lipca 2010 r. „Afgańskiego pamiętnika wojny” – niebagatelnej liczby raportów opisujących działania amerykańskiej armii – odbiło się echem na pierwszych stronach takich dzienników i tygodników, jak „Guardian”, „New York Times” i „Spiegel”. Wydarzenie, komentowane przez prasę na całym świecie, wznieciło rozległą debatę na temat rosnącej siły mediów uczestniczących i dziennikarstwa cyfrowego. Na przeważającej części dyskusji zaważyły niewątpliwie trzy mity na temat ery cyfrowej. Mają one źródło w naiwnej i deterministycznej wizji technologii.

Mit pierwszy: tzw. społeczne media – których zawartość jest współtworzona przez użytkowników – dysponują specyficznym rodzajem władzy. Przy okazji mechanizmów ujawnionych przez „afere WikiLeaks” narodziło się wiele wątpliwości co do roli nowych mediów współdziałających/uczestniczących, szczególnie w doniesieniach na temat konfliktów zbrojnych. Te pytania same w sobie są już bardzo interesujące, przede wszystkim jednak doskonale ukazują tendencję do traktowania blogów, serwisów Twitter, Facebook, YouTube i WikiLeaks jako podobnych do siebie. W związku z tym, że posługują się tą samą technologią, wszystkie miałyby tworzyć homogeniczną całość. Jednak WikiLeaks, inaczej niż inne media uczestniczące, przed publikacją poddaje cały materiał pogłębionej weryfikacji. Szczegół? Wręcz przeciwnie – procedura ta doskonale ujawnia niepoważny charakter „techno-utopijnych” iluzji, głoszących narodziny „otwartego świata”, w którym każdy mógłby rozpowszechniać prawdę – publikując, co tylko mu się podoba.

Wpływ WikiLeaks nie opiera się na technologii, ale na wierze czytelników w autentyczność publikowanych tekstów. Na YouTube

(serwis internetowy rozpowszechniający treści nadsyłane przez internautów) z łatwością możemy znaleźć setki filmów nakręconych w Iraku czy Afganistanie. Filmy te ukazują, jak siły koalicji mieszają się w niejednoznaczne, a niekiedy najzwyczajniej przestępcze, akty agresji. Jednak żaden z tych dokumentów nie wywiera tak dużego wpływu jak inny, podobny, ale opublikowany przez WikiLeaks: świadectwo zmasakrowania grupy cywilów (w tym dwóch dziennikarzy Reutersa) przez amerykański śmigłowiec bojowy na przedmieściach Bagdadu. Dlaczego? Ponieważ wiadomość ma wartość tylko wtedy, gdy można ją sprawdzić. Nie możemy w związku z tym zrównać wszystkich „mediów społecznych” – błędem byłoby przypisywanie im takiej samej siły oddziaływania.

Drugi mit: obserwujemy zmierzch państwa narodowego. Znaczna część dyskursu sławiącego internet opiera się na idei, że teraz będziemy już żyć w świecie pozbawionym granic. Według Jaya Rosena, wykładowcy Uniwersytetu Nowojorskiego, WikiLeaks miałoby stanowić właśnie „pierwszy organ prasowy wymykający się władzy państwowej”. Tymczasem jest dokładnie odwrotnie. Jeśli „afery WikiLeaks” uczy nas czegoś, to właśnie tego, że państwo narodowe wcale nie chyli się ku upadkowi. Zarządzający WikiLeaks doskonale to zrozumieli.

Siedziba WikiLeaks znajduje się w Szwecji. W związku z tym serwis korzysta z wyjątkowej gwarancji, którą szwedzkie prawo obejmuje informatorów, jeśli chodzi o ochronę anonimowości źródeł. [1] Ale to nie wszystko. Mimo tego, że witryna znajduje się na serwerach szwedzkiej firmy PRQ, każda wiadomość zaadresowana do serwisu przechodzi najpierw przez te umieszczone w Belgii. Dlaczego? Ponieważ Belgia dysponuje tak samo surowymi prawami dotyczącymi ochrony źródeł. Co więcej, założyciel WikiLeaks, Julian Assange, na miejsce prezentacji filmu z masakry w Bagdadzie (przywołanego powyżej) wybrał Islandię, która dzięki odpowiednim regulacjom prawnym (Icelandic Modern Media Initiative) stała się azylem dla informatorów i dziennikarzy śledczych.

Można mnożyć przykłady ukazujące wpływ państwa i jego praw na rzekomą „płynność” świata cyfrowego. Przywołajmy choćby niedawną decyzję Zjednoczonych Emiratów Arabskich i Arabii Saudyjskiej o blokadzie aplikacji BlackBerry Messenger (BBM) lub zakaz korzystania z YouTube w Turcji. Struktura Wiki-Leaks została pomyślana w ten sposób, aby zarówno obejść pewne ustawy krajowe (dzięki cyfrowej technologii), jak i czerpać korzyści z praw innych państw. WikiLeaks nie funkcjonuje ani ponad, ani poza prawem – serwis „draży” w obrębie tego prawodawstwa, które jest dla niego jak najbardziej przychylne.

Trzeci mit: dziennikarstwo umarło (albo trwa w agonii). „Wiadomości o mojej śmierci są mocno przesadzone”, ocenił amerykański pisarz Mark Twain. Moglibyśmy dokonać podobnej obserwacji, jeśli chodzi o dziennikarstwo. Niewątpliwie przykład WikiLeaks pokazuje, że technologia zmusza nas do przededefiniowania, a w każdym razie do sprecyzowania sensu słowa „dziennikarstwo”. Ale jednocześnie potwierdza kluczową rolę tego zawodu w rozpowszechnianiu informacji. Na kilka tygodni przed opublikowaniem dokumentów dotyczących wojny w Afganistanie, WikiLeaks przekazało je trzem znanym na całym świecie tytułom (The Guardian, The New York Times i Der Spiegel), a nie publikacjom „alternatywnym”. Była to bez wątpienia rozsądna decyzja – jeśli dokumenty zostałyby opublikowane bezpośrednio w sieci, organy prasowe z całego świata rzuciłyby się na informacje w chaosie rozproszonych i niezorganizowanych analiz. Tutaj cała uwaga została skierowana na trzy periodyki, które miały zarówno czas, jak i środki, by przeanalizować i streścić dokumenty.

Widzimy zatem, że zarówno hipoteza śmierci dziennikarstwa, jak i ta dotycząca zmiękania państwa narodowego popełniają ten sam błąd, mieszając ewolucję i eliminację. Okoliczności i sukces popularności Afgańskiego pamiętnika wojny pokazują, że „tradycyjne” dziennikarstwo wcale nie straciło na swojej przydatności. Tylko rola, jaką przyszło mu grać, zmienia się od 20 lat.

Mit końca dziennikarstwa i triumfu mediów społecznych bazuje na iluzji, że pomiędzy „informacją” a „postępem demokratycznym” istnieje związek przyczynowy. Tymczasem pomysł, jakoby dostęp do „surowej” informacji prowadził, de facto, do emancypacji, wydaje się tak samo naiwny jak ten, który przypisuje tę wyzwolicielską moc technologii. Zarówno informacja, jak i technologia mogą być przydatne tylko dzięki wiedzy i kompetencjom, pozwalającym zrobić z nich właściwy użytek. WikiLeaks nie wybrało trzech tytułów pokrewnych ideologicznie, ale trzy media dysponujące organizacyjnymi, profesjonalnymi i ekonomicznymi środkami umożliwiającymi rozpowszechnienie i udostępnienie wątpliwych danych.

Wbrew uspokajającemu dyskursowi, który ukazuje cyfrowy wszechświat jako „horyzontalny”, usytuowany poza państwami i płynny, WikiLeaks przypomina nam, że ani struktury, ani granice, ani prawa nie straciły nic ze swojej ważności.

Autor: Christian Christensen

Tłumaczenie: Magdalena Madej

Źródło: [Le Monde diplomatique](#)

O AUTORZE

Christian Christensen jest profesorem w Departamencie Informatyki i Mediów Uniwersytetu w Uppsali.

PRZYPIS

[1] Istnieją pewne wątpliwości co do możliwości „schronienia się” WikiLeaks w szwedzkim prawodawstwie.